Nr 8. Kraków, 21 Lutego 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Głos naszych Biskupów w sprawie wyborów.

Na okrętach panuje takie prawo, że gdy się zerwie burza, wtedy wszyscy milczą, aby tem lepiej słyszeć rozkazy sternika. Widocznie groźna idzie burza na nas, skoro zabrali głos sternicy duchowni wszystkich dyecezyj w monarchii austryackiej i odezwali się do wiernych katolików, głosem ojcowskiego upomnienia w sprawie obecnych wyborów.

Z tego też najpierwsza wynika nauka, że nikt nie powinien wyborów tych lekceważyć, lecz to mieć sobie za rzecz sumienia, aby głosem swoim nie szafował na złe, tylko na dobre. Jeśli bowiem przez nasze niedbalstwo, lub lekkomyślność, wybrani zostaną posłowie, którzy na szkodę katolickiej religii będą działali, to wina spadnie na tych, którzy im oddali swoje głosy.

Przysłowie mówi, że każdy kraj ma takie ustawy, na jakie zasługuje: a jeśli w cesarstwie austryackiem są ustawy państwa pod niejednym względem przeciwne ustawom katolickiego Kościoła, to widocznie katolicy sami temu winni. Biskupi słuszny mają powód, żeby lud katolicki budzić z uśpienia, a do rozwagi zachęcać.

Sami też Biskupi przestrzegają, że idzie na nas burza. Nie ta, co porusza morskie bałwany, ale ta, która wstrząsa morzem głów ludzkich, wznieca niepokoje i porusza węgły tych domów, które się zowią państwami. Religia jest fundamentem tych domów, a kto ją osłabia, ten podkopuje i osłabia dom cały. Zielsko i chwast zawsze bujniej rośnie, niż zboże, a bezbożność, niesforność i zepsucie zawsze łatwiej się szerzą, niż pobożność, posłuszeństwo i dobre obyczaje.

Więc złego namnożyło się wiele, a źli ludzie łatwiej znajdują posłuch, obiecując ludowi wszelaką wolność, byle nie słuchał tych, którym sam Bóg posłusznymi być kazał, obiecując złote góry, byle pożądał więcej, choćby cudzego dobra, a nie poprzestawał na swojem.

Od lat 25 nadał Najjaśniejszy Pan ludom swojej monarchii prawo wybierania posłów, ale ludy katolickie w monarchii austryackiej mało dbały o to, jakiej wiary byli ci, których do Rady państwa posyłały. Więc też w monarchii katolickiej uchwalono ustawy, które osłabiły wpływ Kościoła katolickiego, mianowicie na wychowanie dzieci w szkołach. Daremnie narzekali nasi Biskupi na te ustawy, bo zmienić ich nie było można, dlatego że w Radzie państwa mieli większość posłowie t. zw. liberalni, którzy prawią o wolności, ale wolność katolickiemu Kościołowi odebrać i ograniczyć całkiemby chcieli.

W ostatniej kadencyi t. j. ostatnich 6 latach już się w Radzie państwa zaczęło w tej mierze obracać ku lepszemu, ale teraz, gdy przez swary i niezgodę wzajemną Czechów, ta większość się rozbiła, zachodzi ponownie obawa, że tamci większość będą znowu mieli, którzy nieprzyjaźni swojej do Kościoła katolickiego tak dobitne dali dowody. Rząd sam nic nie zrobi, bo tak musi rządzić, jak chce większość posłów: więc żeby dobra większość była, a nie zła, o to wyborcy starać się powinni swojemi głosami.

Nasi Biskupi upominają więc, abyśmy głosy nasze oddawali tylko takim posłom, którzy nam są znani jako dobrzy i wierni katolicy. Nietylko tacy, którzy prywatnie obowiązki religii katolickiej wykonują, ale tacy, którzy jawnie, publicznie i otwarcie do zasad katolickich się przyznają. Bo religia katolicka nie ogranicza się tylko na kościele, na wypełnianiu przykazań w życiu domowem i przepisów kościelnych, ale trzeba wedle jej zasad postępować w życiu publicznem t. j. w polityce. Bardzo też często t. zw. liberalni zarzekają się, że są dobrymi katolikami, ale w parlamencie na Kościół katolicki bicz kręcą — i uchwalali już nieraz takie ustawy kościelne, jakby sami byli biskupami i jakby Rada państwa była soborem t. j. zebraniem Biskupów.

Biskupi nie mogli w liście pasterskim wymieniać tych posłów, których mamy wybierać, ale zdali to na pasterzy duchownych, przełożonych parafij pojedynczych, i dlatego odzywają się z upomnieniem: „słuchajcie pasterzy waszych duchownych, którzy nietylko sami pamiętni będą na swe obowiązki obywatelskie, ale niemniej

i was pouczą, jak macie oddać Bogu, co jest Bożego, a cesarzowi, co jest cesarskiego“.

Wybory każde podobne są do wiatru, który porusza gładką i cichą powierzchnią wody, a mąci ją do głębi. Wypływają też nieraz mąty rozmaite na wierzch. Odzywają się grzeszne głosy, siejące nienawiść jednych do drugich, budzące zawiści, zazdrości, i wzniecające rozterki. Nie braknie i takich, coby na wyborach zarobić i złapać trochę grosza chcieli, a im gorliwszymi przyjaciółmi ludu się mienią, tem bardziej i tem łatwiejby go sprzedali. Więc w tem rozum cały, żeby pamiętać o tem, co mówi przysłowie, że ta krowa, co najwięcej ryczy — najmniej mleka daje.

Nie ten przyjacielem jest ludu, kto burzy go i buntuje przeciwko drugim, ale ten kto upomina do zgody i tej cierpliwości, która pamięta, że Krakus nie odrazu Kraków zbudował, więc budować trzeba powoli, ale ciągle i wytrwale.

Nie ten jest przyjacielem ludu, kto obiecuje złote jabłka, które rosną za górami, ale ten, kto zna potrzeby całego państwa, i wie że ulgi być mogą, być powinny, i że o te ulgi starać się trzeba, ale że ich wydrzeć nie można gwałtem, tylko wyrobić usilnem, ciągłem, wytrwałem staraniem.

Biskupi nasi przepisali osobne nabożeństwo w niedzielę przed wyborami na uproszenie światła i pomocy od Pana Boga. Będziemy więc śpiewali w suplikacyach tę odwieczną prośbę: Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny: zmiłuj się nad nami!

Tak śpiewali przez lat tysiąc nasi ojcowie w każdej potrzebie i trwodze: niech tak śpiewa w ten dzień każdy wyborca z ręką na sercu, że z czystem sumieniem pragnie swoim głosem przyczynić się do pospolitego dobra kraju i Kościoła świętego.

O Rusi i Rusinach.

III.

Rusini pod panowaniem rosyjskiem.

W dawnem województwie Podlaskiem i w części Lubelskiego — (Moskale przezwali je Siedlecką i Lubelską gubernią) — leżała unicka dyecezya Chełmska. Ludność ruska była tam najbardziej zmieszana z polską, a grecki obrządek z łacińskim. Sporów między tymi językami i obrządkami nie było nigdy: owszem była zgoda zupełna. Duchowni i świeccy obu obrządków odbywali nabożeństwa w łacińskich i w ruskich kościołach po bratersku: czuli się naprawdę braćmi w Chrystusie Panu, w Jego kościele, i braćmi na jednej ziemi.

Dlatego też, że w tym ludzie unickim było silniejsze niż gdziekolwiek przywiązanie do wiary, i dlatego także, że dyecezya ta leżała bliżej zagranicznego świata, więc spełnione na niej okrucieństwa łatwiej mogły dojść do wiadomości ludzi, aniżeli to, co się działo na Litwie lub na Podolu, dlatego rząd rossyjski namyślał się długo

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,
dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,
i jak się pogodzili ze sobą.

6

(Dokończenie.)

Kiedy już Walek zakuty siedział w śpichlerzu pańskim, pod strażą dwóch chłopów, pan zawołał do siebie Szeligę, Berdysza, Janka, Baśkę, i wszystkich gospodarzy i gospodynie ze wsi. Prosił także starowinę proboszcza, aby mu pomógł do dzieła zgody. Stanąwszy więc z księdzem przed całą gromadą, zaczął mówić:

— Moi kochani ludzie, to co się dzisiaj stało, pokazuje jakie są skutki niezgody i kłótni; jak Pan Bóg często dziwne ludziom podaje sposoby, aby się nawrócili do niego i przestali go obrażać. Od lat 60-ciu kłócą się Berdysze z Szeligami, albo też, mówiąc po waszemu: kłóci się Berdyszowski koniec z Szeligowskim. Wszystko złe we wsi tylko z tej kłótni pochodzi. Dziadowie wasi pozabijali się oba; ojcowie poumierali w procesie; ...było od sześćdziesięciu lat niedzieli, żeby nie było ...kleństw, bitek, guzów, kaleczenia! Nie było dnia, żeby się albo wy, albo dzieci wasze nie przezywali i nie bili. Ksiądz was upominał, pan was prosił, powiat was karał, nic nie pomagało. Szeliga chwycił się prostego łotra dla tego, że mu ten obiecywał wykurzyć Berdyszów z gruntu, a pono i mnie coś odebrać. Chciał mu nawet dać córkę jedynaczkę, powierzyć mu cały dom i gospodarstwo po ojcach odziedziczone. Pan Bóg widać sam tych dwoje młodych ludzi zbliżył do siebie, aby was pogodzić, a ja i moja żona nieraz radziliśmy, żeby w ten sposób długą zwadę zakończyć. Źleć było, że Jasiek i Baśka rodzicom o tem nie powiedzieli, że się schodzili razem bez wiedzy ojców i matek, ale wyście sami temu winni, że się wam bali powiedzieć słowa. A kiedy się wszystko wykryło, to dla szubienicznika Walka ojciec córkę zbił, jak nieboskie stworzenie, a i Jasiek pono na głowie ma guzy. Berdysz cieszył się, że Szeliga wydaje córkę za byle kogo. Szeliga oblizywał się już, że mu zięć Berdysza wyprawuje i może z chałupy wypędzi. Wielkie, wielkie grzechy wasze, moi ludzie! Ale kiedy teraz Pan Bóg wam otworzył oczy, kiedyście poznali, że tylko tym wierzyć można, co mają Pana Boga w sercu, posłuchajcie mnie i proboszcza, którym najwięcej na tem zależy, abyście byli

czy ma tam rozpocząć prześladowanie, albo nie. Zamiar i postanowienie miał dawno. Zaraz po prześladowaniu na Litwie chciał cesarz Mikołaj wziąć się do dyecezyi chełmskiej: ale mu odradzono z obawy, żeby lud się nie opierał, i żeby świat się nie oburzył. Wtedy jeszcze Rossya bała się trochę tego, co o niej ludzie powiedzą.

Dopiero kiedy w roku 1863 Polacy bez wojska i pieniędzy podnieśli powstanie, kiedy sprawę przegrali, a nikt się za nimi nie ujął: wtedy Rossya zmiarkowała, że nie potrzebuje nikogo się bać, ani na nikogo oglądać. Wzięła się też walić i tępić wszystko co polskiem było na tej ziemi, prawa, urzędy, sądy, szkoły, język, wszystko: i wtedy także powiedziała sobie, że może śmiało skończyć z ostatnią w swojem państwie unicką dyecezyą, i lud ten nawrócić na swoje prawosławie.

Był wtedy biskupem Chełmskim ksiądz Kaliński. Od tego zażądano, żeby pomału i nieznacznie obrządek swój do schyzmatyckiego stósował, i lud z tym oswajał. Biskup odmówił. Wtedy wezwano go nagle do Warszawy. Ile tem wysłuchał gróźb i obelg, to on tylko jeden wiedział: ale oto jak odbyło się wywiezienie. W czasie pobytu swego w Warszawie odprawiał on Mszę w dawnym Bazyliańskim kościele; jednego dnia wszedł do kościoła podczas tej Mszy książę Czerkaski, wysoki urzędnik, umyślnie z Petersburga przysłany, na zniszczenie i Polski i Unii. Został do końca, przypatrywał się, a skoro Msza była skończona, napadł na biskupa, zelżywie i wściekle gromił, że nie umie Mszy odprawiać, kazi swój obrządek, że jest buntownikiem przeciw cesarzowi, wrogiem i odstępcą swego kościoła, i natychmiast wywieźć go kazał do Wiatki, gdzie biskup tylko co dowieziony, czy też dojeżdzając, umarł.

Zaczęło się prześladowanie. Naprzód dzwonki, organy, ambony znikać miały z cerkwi; różańców i pieśni polskich śpiewać zabroniono; kazania (które zawsze mówiły się po polsku) miały odtąd być ruskie. Księża, którzy zmian tych przyjąć nie chcieli, wywiezieni. Naraz objawił się opór tam, gdzie zapewne spodziewano się go najmniej, a obawiano najbardziej. Lud nie dawał wynosić organów, nie chciał chodzić do cerkwi oczyszczonych, śpiewał i modlił się jak dawniej.

Na opór, gwałt. Przyszło wojsko (kozacy), rozłożyło się po wsiach, w każdej chacie po kilku; gospodarz musiał ich żywić. Stałym sposobem postępowania było ogłodzić chłopa, zniszczyć mu dobytek, doprowadzić z żoną i dziećmi do ostatniej nędzy, żeby zmuszony głodem poszedł do rządowej cerkwi. Od tego poczynano wszędzie: a gdzie to nie pomogło tam bicie, wpędzanie całych gromad do stawów i pędzenie ich w wodę coraz głębiej, żeby strachem utopienia wymódz odstępstwo: w niektórych wsiach, jak Kołombród, Gęś, Rudno (powiatu Radzyńskiego) był i rozlew krwi, zabito kilku ludzi.

I wszystko na nic: przez dwa lata nikt nie osłabł, nikt nie ustąpił.

Wtedy zaprzestano gwałtów, ale poszukano sposobu, żeby lud nieznacznie i niby łagodnie przez księży na schyzmę przeprowadzić.

---

w zgodzie ze sobą. Niech Baśka idzie za Janka, a najbogatsi kmiecie się połączą że sobą. Póki wy żyjecie, na tych kawałkach pola, które dziadowie wasi sobie wydarli, będziecie siać dla biednych ludzi i oddacie zbiórkę do szpitala. Ja państwu młodym dam też coś od siebie; a jutro wszyscy pójdziemy do kościoła, wyspowiadamy się i złożymy się na wybudowanie kaplicy w środku wsi dla Matki Boskiej, aby was strzegła od dalszych kłótni i niezgody.

Berdysz i Szeliga, chłopi z jednego i drugiego końca, tylko popatrzeli na siebie, bo żaden nie chciał pierwszy podać ręki do zgody. Ale pan wziął rękę Szeligi i Berdysza, i powiedział:

— Pogódźcie się, żeby Boskiej kary uniknąć.

Łaska Boża zmiękczyła serca obu kmieci. Uściskali się, popłakali — a wtenczas już jak się Szeligowscy na Berdyszowskich rzucili, jak się zaczęli całować i ściskać, to taki był płacz i ryk, że aż pełno było we dworze. I pan z proboszczem i panią płakali. Jasiek i Baśka całowali ręce dobrych państwa, i beczeli także. Pani wyniosła dwa pierścionki i wobec całej gromady odbyły się zaraz zaręczyny. Wtedy, skoro się na sucho już pogodzono, pan kazał przynieść z piwnicy antałek wina, i przy tym antałku bawili się wszyscy aż do nocy.

Szeliga, płacząc, ściskał kolana pańskie i przepraszał za proces. Ale pan poklepał go jeno po ramieniu i rzekł:

— Jużem o tem zapomniał.

Na trzeci dzień wszyscy byli u spowiedzi i złożyli się na figurę. Wkrótce odprawiło się wesele Jaśka i Baśki, na którem pan i pani i panicze, a i ja byłem, miód i wino piłem, a potem spisałem wszystko, na naukę, aby ludzie w świętej zgodzie żyli, jak to pan Jezus kazał. Wnet się pokazało, że niejeden chłopiec z Berdyszowskiego końca pięknem oczkiem na dziewuchy Szeligowskie spoglądał, i że niejedna Berdyszanka wpadła w serce Szeliżanowi. Ksiądz proboszcz dawał ślub po ślubie, a skrzypek Ptak i basista Bąk chodzili jak zmory, bo nie mogli nastarczyć grać na weselach. I tak: Wicek Żelazny ożenił się z Kasią Borucianką z Berdyszowskiego końca, której dotąd płatał podobne figle, jak Janek Basi; Staszek Sorota z Małgosią Dulską z Szeligowskiego końca; toż samo Błażek Wiewiórka z Zośką Niedźwiedzianką, a nawet stary wdowiec, Mateusz Zawierucha, posunął w zaloty

Ale między duchowieństwem miejscowem nie było takich złych księży. Znaleziono ich (na nieszczęście) u nas w Galicyi. Sprowadzono księdza Popiela. Ten był gotów zrobić w Chełmie to samo, co niegdyś na Litwie zrobił Siemaszko. Ale był zbyt znany w Rzymie jako skryty schyzmatyk, i nie mógł on, czy rząd, ani marzyć o tem, by go Papież mianował biskupem. A chciano koniecznie biskupa.

Wtedy został biskupem Chełmskim ksiądz Kuziemski, kanonik od św. Jura we Lwowie.

Ksiądz Kuziemski zaczął od najsurowszego zakazu wszelkich stosunków między duchowieństwem unickiem a łacińskiem. Żandarmi odebrali zarazem rozkaz czuwania nad posłuszeństwem księży. W nabożeństwach posypały się zmiany, schyzmatyckie obrzędy i zwyczaje zalały kościół unicki jak potop. I tak, rozporządził biskup, że na odpustach zamiast mszy tylu, ilu jest księży (jak się to dzieje u katolików wszelkiego obrządku), ma się odprawiać jedna tylko msza, S o b o r n a, jak ją nazywa prawosławny kościół i język. Innym razem rozkazał dyecezyanom swoim służącym w wojsku, żeby tam spowiadali się przed duchownymi schyzmatyckiemi. Przeciw księżom opornym, to jest wiernym, używano całej surowości władzy kościelnej i świeckiej. Więziono, wypędzano, wywożono na Sybir.

Zrobił więc ten biskup, lub dał zrobić wszystko co mógł, żeby zniszczyć obrządek i odrębność swojego kościoła. A jednak wzdrygnął się przed odstępstwem, i sam na schyzmę nie przeszedł. Kiedy zobaczył, że rząd tego od niego lada dzień zażąda, usunął się sam: opatrzony dwoma wsiami pod Chełmem, które niebawem sprzedał, odjechał do Galicyi.

Po wyjeździe ks. Kuziemskiego rządził dyecezyą Popiel, bez upoważnienia od Papieża. Dzieło postępowało naprzód swoim torem, nieustannie, ale cicho. Coraz nowe zmiany w obrządku, i coraz tych zmian więcej: ze strony ludności ten sam zawsze opór spokojny ale stanowczy, trzymanie się zdala od cerkwi i nabożeństw o c z y s z c z o n y c h: gwałtu, prześladowania, przymusu przecież nie było. Trwał taki stan dwa lata, do roku 1874.

Teraz, z samym Nowym Rokiem, wyszedł rozkaz, żeby raz z tą sprawą skończyć. Wzięły się teraz władze duchowne i świeckie do wprowadzania stanowczych zmian w obrządku. Księży, którzy ich przyjąć nie chcieli, uwięziono lub wywieziono: powolnych i zgodnych zastępców dostarczała niestety Galicya. Zaraz w początkach wywieziono tak dwudziestu czterech księży. Ale na tem nie koniec: zaczęła się dopiero sprawa z ludem. Ten nie chciał chodzić do cerkwi, ani przyjmować nowych księży: gdy księży siłą zbrojną na parafiach osadzano, a lud bagnetami do cerkwi wpychano, zdarzył się pierwszy znaczniejszy rozlew krwi: w Drelowie (powiat Radzyński) zabitych było ośmiu, w Pratulinie (powiat Konstantynowski, dawny Janowski), ośmnastu.

Lud się dawał bić i zabijać, zaręczał o swojej wierności dla cesarza, ale nie ustępował. Kiedy mu narzucano księży nowych, ładował ich z rzeczami na wozy,

---

do wdowy po Bartku Cichawie, i powiadają ludzie, że się może po Wielkanocy pobiorą.

Jasiek i Baśka pobudowali się nad rzeczką, naprzeciwko chałup ojców, tuż przy chałupie Walka, którą sprzedano na licytacyi i pieniądze oddano na szpital. Jasiek Baśkę okrutnie kocha, a i ona jego niemało, a że przytem pobożnie i pracowicie żyją, to im pewnie Pan Bóg wszelkiego błogosławieństwa nie odmówi.

Figura Matki Boskiej stoi między trzema chałupami nad drogą, bardzo piękna, a co sobota schodzą się ludzie i śpiewają przed oświeconą kaplicą pieśni na chwalę Najświętszej Panienki.

W całym Gajowie cicho, jak mak siał, bitki i przekleństw nie słychać, i powiadają, że już na kopcach granicznych więcej nie straszy.

KONIEC.

Powieść ta pisana była przez Józefa Szujskiego, zmarłego przed ośmioma laty profesora historyi polskiej w uniwersytecie krakowskim. Szujski był jednym z najznakomitszych ludzi i najlepszych pisarzy, jakich mieliśmy w ostatnich czasach. Odznaczył się najbardziej swojemi dziełami o historyi polskiej, którą znał tak doskonale jak mało kto, a pisał tak mądrze, że z jego książek najlepiej można wyrozumieć w czem dawna Polska błądziła i jakim sposobem doprowadziła się do nieszczęścia. Przez to można i poznać czego się teraz i zawsze strzedz mamy, żeby na przyszłość w podobne błędy i klęski nie wpadać. Pisał też wiele o teraźniejszych sprawach krajowych, i mawiał o nich jako poseł na Sejmie: a zawsze w tym samym duchu i celu, żeby naród był Bogu wierny, z sobą zgodny, władzy posłuszny, a w postępowaniu prawy, roztropny i gospodarny. Pisał też wiele wierszy. Pracowity był niezmiernie, a w czem mógł narodowi swemu usłużyć, tego nigdy nie zaniedbał. Tą wielką pracą zniszczył sobie zdrowie i siły tak, że umarł w 47-mym roku życia. Zajmował się wiele, między innemi rzeczami, wychowaniem młodzieży; na Sejmie starał się gorliwie o to, żeby lata nauki w szkołach wiejskich cokolwiek skrócić, a naukę samą ułatwić, ale nie pozwalają na to ogólne prawa przez Radę Państwa uchwalone. Za swoje zasługi, swoją naukę i swoje szlachetne serce bardzo wysoko przez wszystkich uczciwych ludzi szanowany i kochany, był Rektorem Uniwersytetu w Krakowie i Sekretarzem Akademii Umiejętności. Cesarz mianował go członkiem Izby Panów (wyższej Izby Rady Państwa). Historyę o Berdyszach i Szeligach pisał kiedy był jeszcze bardzo młodym, a przebywając wiele na wsi (pod Sączem) miał sposobność przypatrzeć się jak nieraz podejrzani ludzie porządnych gospodarzy oszukują i dlatego tę powieść napisał.

i wywoził do najbliższego miasteczka, nic im zresztą złego nie robiąc. Nieprzyjętych księży odprowadzało wojsko napowrót do wsi i oddawało im kościół: ledwie odeszło, to samo powtarzało się znowu. Wśród tego nastąpił przyjazd cesarza Aleksandra Drugiego do Warszawy. Lud miał nadzieję, że ten cesarz, niby dobry, bo zniósł poddaństwo, pozwoli mu wyznawać swoją wiarę. Wysłał też deputacyę do cesarza. Ale cesarza nawet ona nie widziała: tylko jenerał-gubernator obwieścił im tylko najwyższą wolę, żeby do swojej prawdziwej wiary prawosławnej wrócili.

Lud tymczasem trwał w swoim oporze. Cóż z nimi robić? zdusić, ale o ile być może cicho, żeby odgłos tej sprawy do innych włościan i do zagranicy nie doszedł. Zdusić cicho, a więc naprzód zniszczyć i ogłodzić ludność. Zesłano wojsko. Cztery najbardziej na wschód posunięte powiaty Podlasia, Bialski, Konstantynowski, Włodawski, i Radzyński zapełniły się kozakami. Stawali żołnierze kwaterą u chłopów, i to nie po jednemu, lecz po kilku w jednym domu, a dom ten musiał żywić ich i konie; wszystko co miał, to było na ich usługi. Chęć dokuczania szła na wyścigi z chęcią zniszczenia: zabierano naprzykład chłopu pszenicę, wszystką jaką miał naturalnie, i dawano ją koniom kozackim; zarzynano jego krowę, jego wołu, i dawano żołnierzom, a ci niewybredni, zwykle i nie zbyt dobrze żywieni,tam dostawali po trzy funty mięsa dziennie i tylko najlepsze części jeść mogli, gorsze rzucali w błoto, w wodę, albo psom... i to nie w jednym miejscu tak, nie w jednym wypadku, to wszędzie i ciągle. Wkrótce naturalnie przyszla nędza straszna i powszechna, całe okolice były zniszczone, ogłodzone, jak po Tatarach: gorzej, bo tatarskie najazdy nie trwały nigdy tak długo. Jednak nic nie pomagało. Żadnych odstępstw ani żadnych ustępstw; żądano od ludu przyjęcia nowych księży, chodzenia do cerkwi, lud kiedy inaczej poradzić sobie nie mógł, wynosił się tłumnie do lasów, tam przez czas jakiś koczował, ale zgodzić się nie chciał.

Wtedy wzięto się do środków ostrzejszych. Żądano od gromad podpisów, niekoniecznie, że przyjmą prawosławie, ale że przyjmą nowych księży i zmienione nabożeństwo. Kiedy nie chcieli, bito ich tak, że nawet nam Polakom uwierzyć trudno; po dwieście kijów, to miara dla mężczyzny zwykła, ale byli tacy, co ją dwoma, nawet trzema nawrotami dostawali. Ojciec jednego z ludzi zabitych pod kijami, patrząc na niego, mówił, że nie płacze i nie żałuje, bo Bóg synowi tej męki i tej śmierci zapomnieć nie może. Drugi, po dwustu kijach wstał, mówiąc, że to każde dziecko wytrzyma, cóż dopiero człowiek dorosły, któremu idzie o duszę i wiarę. Ale oto wypadek inny dowodzący do jakiego stanu świętości, doszedł ten lud wiarą, i gotowością na śmierć, podobną do pierwszych chrześcijan. Kobiecie jednej (w Kornicy) zabili syna jedynaka. Płakała nad ciałem: wtedy z otaczającej gromady wystąpił jeden starszy człowiek i zgromił ją, że narzeka, kiedy powinna Bogu dziękować i śpiewać pieśni pochwalne, że miała szczęście dać niebu męczennika. Kobieta zrazu osłupiała; powoli, owładnięta tym rozkazującym tonem przestawała płakać, w końcu usłuchała, i widziano, może po raz pierwszy na świecie, matkę śpiewającą jakąś pieśń dziękczynną, „Twoja cześć chwała“ podobną, nad ciałem zabitego dziecka.

(Dok. nast.)



Św. Jozafat Kuncewicz.

Św. Jozafat Kuncewicz.

Kto uważnie czyta *Krakusa*, ten już wie, że Jozafat Kuncewicz, arcybiskup połocki, poniósł śmierć męczeńską za wiarę, zamordowany w Witebsku przez schyzmatyków. Było o tem w N-rze 5 *Krakusa* w artykule „O Rusi i Rusinach“, ale było krótko, bo pisarz o wszystkiem musiał krótko wspominać, aby jego pisanie nie ciągnęło się przez kilka miesięcy. Za to teraz, kiedyśmy dostali wizerunek świętego Jozafata, osobno opowiemy życie tego wielkiego męczennika, ażeby cześć i sława jego rosły na pożytek Kościołowi i narodowi.

Koło r. 1580 za panowania króla Stefana Bato

rego urodził się kupcowi we Włodzimierzu syn, któremu na chrzcie dano imię Jan. Jako ludzie zacni i pobożni, Kuncewiczowie pragnęli wychować staranniej swego syna. Ćwiczyli go w naukach i pobożności. Kiedy młody Jan pierwszy raz ujrzał krzyż, to opowiadał później, że uczuł w tej chwili, jakby mu iskra płonąca padła na serce i przejęła go taka miłość Kościoła i jego obrzędów, że w ciągu lat trzydziestu ani przez jeden dzień nie opuścił nabożeństwa.

Ubodzy rodzice oddali Jana po skończeniu szkół początkowych do kupca Popowicza w Wilnie. Było to świeżo po zaprowadzeniu unii religijnej, kiedy jedni rusini przechodzili na łono Kościoła katolickiego, a drudzy zajadle obstawali za schyzmą. Na Jana nikt nie wpływał, miał więc wolny wybór między prawdą a błędem. Sam Pan Bóg tylko był jego światłem. Oto jak sam o tem opowiada: „Gdy ujrzałem tylu ludzi sprzyjających schyzmie, obróciłem się ku Bogu i prosiłem Go, aby sam wskazał mi drogę. Jednocześnie ogarnęła mnie taka nienawiść do odszczepieństwa, że bez przestanku cisnęły się mi na usta słowa proroka: *Znienawidziłem bożnicę złośników*“.

W Wilnie zapoznał się Jan z uczonym kapłanem Piotrem Arkadiuszem, oraz z dwoma profesorami Akademii wileńskiej, Walentym Fabrycym i Grzegorzem Grużewskim, którzy słowem i nauką rozkrzewiali prawdziwą wiarę. Już wówczas czuł młody Jan powołanie do całkowitego oddania się Bogu. Przyjaźń z młodym Rutskim, wracającym z Rzymu i odznaczającym się gorącem przywiązaniem do wiary, przyspieszyła jego postanowienie. Oświadczył to kupcowi Popowiczowi, a choć ten chciał mu oddać swą córkę i cały majątek, Kuncewicz wytrwał w postanowieniu.

Udawszy się do metropolity Pocieja, padł mu do nóg i prosił o suknię zakonną. Stało się zadość jego życzeniu i młody Jan, przyjąwszy zakonne imię Jozafata, wstąpił do klasztoru, czyli jak rusini nazywają monasteru św. Trójcy w Wilnie. Obrał sobie małą celę, i w niej zamknąwszy się, nawet na dziedziniec nie wychodził, zatopiony przez całe dnie i noce w nauce i modlitwie. Czytał żywoty Świętych, dzieje kościelne i szczególnie zastanawiał się nad błędami schyzmy. W osobnych księgach spisywał swoje uwagi, a z nich mieli korzyść późniejsi jego uczniowie.

Dla zakonnika jednak modlitwa i nauka nie wystarcza, musi on bowiem „karcić ciało, aby je mieć w poddaństwie“. Jozafat nietylko wykonywał wszystkie umartwienia przepisane regułą, ale je jeszcze znacznie obostrzał. Po kilka dni wstrzymywał się od jadła, a kiedy natura wymagała koniecznie posiłku, używał potraw prostych i grubych, bardzo rzadko pożywiał się rybami, a przez kilka lat niczego nie pił prócz czystej wody. Chciał nawet uczynić ślub, że będzie żył tylko o chlebie i wodzie, ale wstrzymywał go od tego nakaz spowiednika. Ci co patrzyli na jego życie zakonne, opisywali później, jakim niesłychanym umartwieniom poddawał Jozafat swoje ciało, jak nosił pod habitem tylko włosiennicę, jak sypiał na gołej ziemi, jak biczował się dyscypliną do tego stopnia, że krople krwi pozostawały na podłodze celi, lub w polu na śniegu, bo uciekał w samotne miejsca, aby bez świadków siec niewinne ciało. A wśród tych umartwień myślał tylko o jednem: o zbawieniu Rusi przez unię z Kościołem katolickim.

Świątobliwość jego stała się głośną. Pewna kobieta złego życia napadła go w celi, ale on ją ze wstrętem wypędził. Zaczęto o tem mówić i różni ludzie nachodzili świątobliwego człowieka, aby go poznać i z nim pomówić. Widząc, że te odwiedziny rozrywają jego myśli i prace, przeniósł się Jozafat do dawnej kapliczki św. Łukasza i wcale z niej nie wychodził. W tej samotności jedyną pociechą bywały dla niego odwiedziny Jana Rutskiego, który jako człowiek pełen nauki, kształcił umysł Jozafata.

Rutski Jan, starszy o lat 7 od swego ucznia, był wychowany w religii heretyckiej, ale jako młodzieniec przejrzał i przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Ojciec św. Klemens VIII poznawszy jego zdolności, kazał mu przyjąć obrządek grecko-katolicki, aby szedł nawracać schyzmę do wiary świętej. W Wilnie powołano go na rektora kolegium greckiego i w tych to czasach obaj ci młodzieńcy Jozafat i Rutski zawarli ze sobą znajomość. Wkrótce potem Rutski wstąpił do zakonu bazyliańskiego i wspólnie z Jozafatem zajął się jego reformą. Połączenie się tych dwóch ludzi wielkie dla unii miało znaczenie.

Tymczasem schyzma poniosła wielką stratę przez śmierć swego głównego opiekuna ks. Konstantego Ostrogskiego. Schyzmatycy widząc, że nie mają obrońców między wielkimi panami, rozpoczęli buntować lud i mieszczaństwo. Archimandryta św. Trójcy Sienczyłło i archidyakon Zaszczyński, ludzie źli i przewrotni, zaczęli skłaniać się ku schyzmie. Rutskiego wysłali gdzieś za jakąś sprawą, a Józafata nakłaniali, aby z nim zerwał stosunki. W Grodnie 1608 roku zebrali się spiskujący i uchwalili zerwać z metropolitą i poddać się pod władzę schyzmatyckiego patryarchy carogrodzkiego. Trzech schyzmatyków rzuciło się do nóg Jozafatowi, aby przyłączył się do archimandryty. Widząc jego stałość, zaczęli schyzmatycy go prześladować.

Zbuntowani popi pozabierali kościoły i tylko jedna cerkiew św. Trójcy została jeszcze unicką. Metropolita Pociej wyłączył archimandrytę z grona wiernych, Rutskiego mianował archimandrytą. Tłum zbrojnych schyzmatyków napadł w dniu 9 Marca 1609, nowego archimandrytę i Jozafata, ale za chwilę pierzchnął w popłochu, gdyż został odparty przez 40 męczenników pod wodzą św. Bazylego. Cud ten stwierdzony przysięgą, został później odmalowany nad drzwiami monasteru św. Trójcy.

Kiedy król Zygmunt III zjechał do Wilna, sąd wyznaczony przez niego rozpatrzył sprawę i kazał schyzmatykom, aby zwrócili zabrane cerkwie. Schyzmatycy najęli zbrodniarza, który rzucił się na metropolitę Pocieja z dobytym pałaszem, ciężko go zranił i odciął mu trzy palce. Zbrodniarz skazany na śmierć, pojednał się z Bogiem za przyczyną Jozafata. Schyzmatycy ucichli w obawie srogiej kary.

W tym czasie Jozafat został wyświęcony na kapłana po czteroletniej profesyi. Świątobliwość jego była znaną już wszystkim, a wiarogodni świadkowie pod przysięgą zeznali, jak kilka razy widzieli podczas mszy świętej, nad kielichem przez Jozafata trzymanym, dzieciątko Jezus i anioła asystującego mu w szacie dyakona.

Kiedy pierwszy raz Jozafat wstąpił na ambonę, ogarnęło słuchaczy ogromne wzruszenie. Zdawało się, że to jakiś głos nieziemski przemawia, tyle w wymowie jego było natchnienia i prawdy. To też po każdem kazaniu, na które z ciekawości uczęszczali i schyzmatycy, przybywało coraz więcej wiernych Kościołowi. Pomiędzy innymi nawrócił patryarchę moskiewskiego Ignacego, który przebywał pewien czas w Wilnie i młodego Greka Kantakuzena, pochodzącego z cesarskiego rodu.

W r. 1613 za staraniem Jozafata, założony został zakon Bazylianów w Żyrowicach. Znajdujący się w ich cerkwi obraz Najśw. Panny Maryi zasłynął cudami na całą Polskę i Litwę. Składali mu hołd późniejsi królowie polscy, a Papież Benedykt XVII przysłał w r. 1730 złotą koronę dla Najśw. Panny Maryi Żyrowickiej. Żyrowice przez parę wieków, jak latarnia morska przyświecały całej Rusi litewskiej, dopóki Moskale nie znieśli unii przemocą.

Tymczasem umarł metropolita, a przyjaciel Józafata Rutski został po nim następcą. Zaraz po otrzymaniu tej godności, mianował Jozafata archimandrytą św. Trójcy. *Dok. nast.*

Korespondencya.

Czernichów 9 lutego 1891 r.

Dnia 9 marca ubiegłego roku rozpoczęła swoje czynności powstała w Czernichowie za staraniem członków miejscowego Kółka rolniczego „Spółkowa kasa oszczędności i pożyczek“. Jest to pierwsza w Galicyi spółka, urządzona i prowadzona ściśle według t. zw. zasad Raiffeisena. Przed kilku dniami ogłoszone zostało drukiem pierwsze sprawozdanie o czynności tej kasy za rok ubiegły. Otóż pragnęlibyśmy zapoznać także czytelników *Krakusa* z działalnością naszej kasy, albowiem sądzimy, że gdziekolwiek w Kółku rolniczem znajdzie się kilku ludzi dobrej woli, i gotowych z całą gorliwością zaopiekować się taką instytucyą, tam wszędzie spółkowe kasy systemu Raiffeisena mogą się stać nieocenionem dobrodziejstwem dla włościan, potężną dźwignią ich dobrobytu, i skutecznym środkiem *umoralnienia*.

Z końcem r. 1890 liczyła nasza spółka 143 członków. Wszyscy mieszkają w parafii Czernichowskiej. Jestto bowiem właściwością i zaletą spółek systemu Raiffeisena, że działalność swoją ograniczają na mały okrąg, co najwięcej na jedną parafię. Każdy członek wpłaca udział w kwocie 1 złr., który pozostaje jego własnością, lecz zostanie mu zwróconym, gdy członek wystąpi ze spółki. Wszyscy zaś członkowie majątkami swojemi ręczą wspólnie za kasę, bo inaczej niktby nie powierzył kasie swoich oszczędności. A właśnie z wkładek oszczędności czerpie spółka prawie wszystkie swoje fundusze, któremi gospodaruje. I otóż w ciągu niecałych 10 miesięcy, złożyli ludzie do naszej kasy blizko 13 tysięcy złr. (12.923 złr.). Wkładki te pochodziły w przeważnej części od włościan parafii tutejszej. Dostał się przeto do naszej kasy nie jeden taki grosz, który przedtem nieużytecznie w skrzyni leżał, albo też byłby zmarniał, gdyby nie było kasy na miejscu. Prawda, że nieraz trzeba było ludzi do oszczędności i wkładania pieniędzy do kasy osobiście zachęcać i nakłaniać, ale początek zawsze bywa trudnym, a przecież te starania nie okazały się bezowocnemi. Każdego czasu wolno właścicielowi wkładki, wyjąć włożone pieniądze, i rzeczywiście zwróciła kasa w ciągu ubiegłego roku kwotę 2329 złr. Od wkładek oszczędności płaci spółka $4^1/_2$ procent (od sta).

Te pieniądze, które się uzyskało z udziałów, a głównie z wkładek oszczędności, rozpożyczała spółka między swoich członków. W ciągu niecałych 10 miesięcy ubiegłego roku udzielono 117 pożyczek w kwocie 11.807 złr. Z tych pożyczek 15 było zabezpieczonych hipotecznie, a reszta t. j. 102 pożyczki udzielono na zwyczajne skrypta dłużne, poręczone solidarnie zwykle przez dwóch poręczycieli. Nie każdemu jednak udzielono pożyczki, kto się o nią zgłosił; przeciwnie, postępowano z konieczną przezornością. Boć przecie wszyscy członkowie ręczą swojemi majątkami za ludzkie pieniądze, któremi kasa gospodaruje, dlatego też zarząd, który się składa z X. Proboszcza i z czterech włościan, musiał się dobrze pilnować, aby pożyczki nie dostawali ludzie nie zasługujący na wiarę, lub nie umiejący ich użyć, lub nie przedstawiający rękojmi oddania.

Każdy pożyczający musiał podać prawdziwie, na co potrzebuje pieniędzy, a zarząd kasy pilnował, aby dłużnik pieniędzy na co innego nie użył, tylko na cel pożyteczny, na jaki żądał pożyczki. Najwięcej pożyczek, bo aż 36 w kwocie 3595 złr. udzielono na spłatę prywatnych lichwiarskich długów. Niektóre z tych długów spółka osobiście spłaciła prywatnym wierzycielom. Tyleż pożyczek t. j. także 36 udzielono na dokupno inwentarza w kwocie 1630 złr. Wiadomo zaś, że w roku 1889 wielu gospodarzy wysprzedało się z bydła z po-

wodu niedostatku paszy. Na wiosnę zaś roku następnego trzeba było znowu zaopatrzyć się w inwentarz, który bardzo podrożał, a bez którego przecież nie mógł się włościanin obejść. Gdyby nasza kasa nie przyszła ze znaczną pomocą, pozadłużaliby się ludzie u prywatnych lichwiarzy, albo powynajmywaliby obce bydło, jak się to na wsi praktykuje z wielką dla włościan stratą. Inne pożyczki służyły na obsiewy i robociznę, na dokupno paszy lub gruntu, na budowę domów, stodół, piwnic, na spłatę rodziny, albo wreszcie na rozmaite cele przemysłowe i handlowe np. na prowadzenie cegielni, wapiennika, sprzedaży węgli, prowadzenie rzemiosł.

Pożyczek udzielono na rozmaity przeciąg czasu, od kilku miesięcy aż do 10 lat, stosownie do tego, na co dłużnik pożyczał, i jak mu było najwygodniej upłacać. Największą liczbę pożyczek bo 79 udzielono na przeciąg 3 do 5 lat, 29 pożyczek na czas krótszy, a 9 pożyczek na czas od 6 do 10 lat.

Koszta otrzymania pożyczki są w naszej kasie tak małe, jak chyba w żadnej kasie w kraju. Kosztuje bowiem tylko stempel na skrypt dłużny, a ustawa z roku 1889 przyznaje spółkom systemu Raiffeisena prawo używania na skryptach dłużnych stempla wekslowego, chociaż spółka nigdy nie używa weksli, jako dla włościan nieodpowiedniego papieru. Jeżeli np. członek zaciąga pożyczkę 100 zlr., to za siebie i za każdego ze swoich ręczycieli płaci po 10 ct. t. j. razem 30 ct. Od pożyczki opłaca procent 6 zlr., lecz nie z góry, jak to czynią inne kasy, ale sprawiedliwiej t. j. z dołu. Innych kosztów nie ma. Ale co jeszcze ważniejsza, to oszczędza się dłużnikowi mitręgi czasu i licznych zachodów przy odbieraniu i odpłacaniu pożyczki, albowiem dłużnik ma kasę na miejscu, tam gdzie mieszka, albo przynajmniej tam, gdzie chodzi do kościoła.

Gdyśmy zakładali kasę, to nie brakło ludzi niedowierzających, co mówili: „Łatwo pożyczyć, ale trudniej odebrać“. No, i rzeczywiście mieliśmy dość strachu, niecierpliwie i z pewną obawą wyczekiwaliśmy pierwszych terminów zwrotu, a tymczasem pocieszaliśmy się tem, że przecież nasz lud jest religijnym, bogobojnym i rzetelnym. Wszystkie nasze obawy okazały się, chwała Bogu, najzupełniej płonnemi. Wszyscy dłużnicy okazali się dotąd najrzetelniejszymi ludźmi. Do końca grudnia 1890 roku zapłacili 87 rat w kwocie 1453 zlr. 96 ct. Znaczna część zwrotów wpływała na parę tygodni, a nawet na parę miesięcy przed umówionym terminem. Zaległość w dniu 31 grudnia wynosiła u trzech dłużników 22 zlr., ale już w siedm dni potem przy sposobności jarmarku została zupełnie wyrównaną, tak, że w dniu 7 stycznia b. r. nie miała spółka ani jednego centa zaległości tak w ratach jak i w należnych procentach. I to jest właśnie, co nas najwięcej cieszy i najlepiej świadczy o tem, jak rozumnie, jak dobrze są zastosowane do potrzeb ludu wiejskiego zasady systemu Raiffeisena.

Obrót kasowy t. j. suma wszystkich dochodów i wszystkich rozchodów wynosiła w ciągu nie całych 10 miesięcy ubiegłego roku kwotę 30.202 zlr. 28 ct., a mianowicie:

Dochody	15.101 zlr.	14 ct.
Rozchody	14.570 „	94 „
Razem	30 202 zlr.	28 ct.

Kiedy zaś w dniu 31 grudnia 1890 r. porównaliśmy wszystkie pieniądze, jakie się należą kasie od ludzi, z temi pieniędzmi, jakie się należą ludziom od kasy, to się pokazało, że spółka po opłaceniu wszystkich kosztów założenia i administracyi, wynoszących 72 zlr. 10 ct., ma jeszcze czysty zysk w kwocie 85 zlr. 61 ct.

Ten cały zysk przeznaczyło się do funduszu rezerwowego t. j. na utworzenie wspólnego niepodzielnego majątku spółki. Tak samo postępować będziemy w następnych latach, aż dotąd, dopóki własny majątek kasy nie dosięgnie tej sumy, jaka jest kasie potrzebną do obrotu. Jeśliby się przypadkiem okazały jakie straty, to się je pokryje z tego funduszu rezerwowego, a cały dochód od tego funduszu obracać się będzie kiedyś na użyteczne cele dla dobra mieszkańców parafii, więc czy to na szkołę, czy to na szpital, czy na popieranie gospodarstw wiejskich, przemysłu, handlu w parafii i na inne tym podobne cele.

Czyżby to zatem nie było dobrodziejstwem dla ludu wiejskiego, gdyby każda parafia w naszym kraju posiadała taką kasę systemu Raiffeisena. Ludzie uczyliby się oszczędności, mieliby pod ręką dogodną pomoc w podnoszeniu swoich gospodarstw; uczestnicząc sami w zarządzie spółki, poznawaliby wzajemnie swoje potrzeby, zbliżaliby się do siebie, uczyliby się myśleć o sobie, dobrze się rządzić, i utworzyliby ciało, w którem jedni członkowie oddając swoje oszczędności wprawdzie na procent, dopomagaliby innym, a wszyscy pomału dochodziliby do posiadania wspólnego majątku na wspólne użyteczne cele. Takto zatem przez te spółki może być praktycznie wykonywaną chrześciańska zasada miłości bliźniego.

Nie doradzamy pospiesznego i nieoględnego zakładania od razu wszędzie takich kas w naszym kraju. Boć skoro spółka Raiffeisenowska gospodaruje obecnie ludzkiemi pieniędzmi, skoro opiera się na solidarnej poręce członków, którzy za kasę odpowiadają swojemi majątkami, to trzeba się dobrze obliczyć z silami, zanim się przystąpi do stanowczego kroku. Trzeba przedewszystkiem, ażeby się w parafii znalazło kilku ludzi rozumnych, nieskazitelnych, gotowych do pracy i poświęcenia się dla dobra publicznego, nie na jedną chwilę, ale trwale i skutecznie, ludzi, którzyby się całem ser-

cem sprawie tej oddali. Gdzie takich ludzi nie ma, tam spółka systemu Raiffeisena nie powinna powstawać.

Atoli sądzimy, że już dzisiaj bodaj kilka, kilkanaście znajdzie się takich parafij, gdzie kasy Raiffeisenowskie mogłyby się pomyślnie rozwijać. „Nie od razu Kraków zbudowano“. Niechaj powoli, stopniowo rzecz dobra się krzewi i rozpowszechnia. Właśnie te instytucye, które pomału, w miarę potrzeby i w miarę sił istniejących rosły i mnożyły się, te najpiękniej i najtrwalej zdołały się rozwinąć, a te które nagle i wszędzie zakładano, np. kasy gminne, poczęły wkrótce chromać i upadać. Ale też źle jest zakładać ręce i cofać się przed każdym trudem, bo rzecz dobra zawsze jest trudniejszą od złej, a jeżeli nigdy na nic trudniejszego i ryzykownego nie odważymy się, to i nic dobrego nie potrafimy zdziałać.

Szczególniej zaś, gdzie duszpasterze mieliby możność gorliwego zajęcia się i zaopiekowania powyższą spółką, tam zdolaliby najwięcej przyczynić się do pożytecznego krajowi rozwoju tej instytucyi, zwłaszcza jeżeli nadto pozyskają w swej parafii jednego, albo więcej mężów, na których dobrej woli, uczciwości i wytrwałości mogliby polegać.

Zakładanie spółek systemu Raiffeisena w nadających się po temu miejscowościach naszego kraju, jest ułatwionem przez wydanie „Przewodnika dla spółkowych kas oszczędności i pożyczek systemu Raiffeisena“ (napisał Dr Franciszek Stefczyk), zawierającego szczegółowe informacye o organizacyi i prowadzeniu czynności tej instytucyi, oraz przez wydanie potrzebnych druków, jak statutu, skryptów dłużnych, assygnacyj i t. p. Przewodnik i druki są do nabycia u podpisanego, u którego również można nabyć książkę tego samego autora, zawierającą naukowe wiadomości o zasadach systemu Raiffeisena i o rozpowszechnieniu się, tudzież działalności tych spółek w Niemczech i w innych krajach.

X. Edward Królikowski,
proboszcz w Czernichowie.

Kogo wybierać do Rady państwa?

Niejednemu zdaje się, że posła po to wybiera, aby mu szczęście przywiózł z Wiednia, i jak widzi, że bieda ciągle gniecie, myśli sobie, że to poseł winien, że poseł nie starał się; i albo chce wybrać innego, albo powiada, że nie warto wybierać, bo czy jest ten czy tamten posłem, zawsze bieda biedą, a poseł na to nie pomoże. Otóż takie narzekanie pochodzi ztąd, że nie zastanawiamy się nad tem, po co są posłowie, co oni mają robić, a często i ludzie, co chcą być wybrani tak przedstawiają, że to ci posłowie co byli dotychczas, nie chcieli albo nie umieli upominać się, albo też nie wiedzą, co nas gniecie. Ale takie gadanie pokazuje, że człek nie wie co mówi. Cóż każdego gniecie najwięcej, jeśli nie podatek? Każdyby chciał, aby podatki były mniejsze i narzeka na nie. Otóż taki wybrany poseł radby żądać, aby zmniejszono podatki, przychodzi do Rady państwa, zagląda do rachunków i widzi, że na wojsko bardzo wiele idzie pieniędzy: radby bardzo na wojsku co oszczędzić, a podatki zniżyć. Tymczasem podczas obrad, minister wojny powiada: „tylko proszę mi nic nie urywać z wydatków na wojsko, bo oto w Rosyi utworzono nowe pułki kawaleryi, a w Niemczech zakupiono nowo wynalezione karabiny, co strzelają bardzo daleko, musimy robić próby z prochem co nie dymi, zakupić nowe armaty, bo jakbyśmy tego wszystkiego nie mieli, a przyszło z którym z sąsiadów do wojny, toby nasi żołnierze nie mogli zwyciężyć, mając broń gorszą, albo będąc w mniejszej liczbie“. Posłowie radzą, namyślają się, ale cóż robić, trudno swoich narazić na pewną przegraną, wystawiać na rzeź, wszak to wszystko nie najemnicy, ale nasi synowie, bracia, trzeba aby byli uzbrojeni dobrze dla bezpieczeństwa państwa i samych żołnierzy. Zaledwie to posłowie uchwalili, a tu nowa sprawa, powiada minister: „trzeba nam w Krakowie i w Przemyślu fortecy silnej, bo wojsko musi mieć magazyny, składy broni, którychby nikt nie zabrał, a że teraz działa bardzo daleko strzelają, to i fortecy nie można tak budować jak dawniej, że na około miasta mur się zrobi i wystarczy. Teraz trzeba w różnych stronach daleko od miasta zbudować dużo fortów, któreby ze sobą miały styczność, bo inaczej nie obronimy miasta“. Poseł chciałby zniżyć podatek, ale musi przyznać, że dla wojska potrzebne fortece, godzi się na to, bo nie można bez obrony pozostawić kraju. Potem, jak zliczą te wydatki, pokaże się, że o obniżeniu podatku mowy być nie może, ale często trzeba go podwyższyć.

Innym razem poseł chciałby, żeby przynajmniej sól była tania dla bydła, bo to przecie każdy gospodarz wie, że sól dobrze robi chudobie i że bydle zdrowsze i lepiej wygląda, jak mu się sól daje. Wszyscy posłowie też o zniżenie ceny soli dla bydła oddawna starają się, a mimo tego dotychczas napróżno; bo minister skarbu powiada: „ja chętnie przystanę, obniżę sól dla bydła, jak będę widział, że tę sól ludzie tylko dla bydła będą używali, bo inaczej straciłbym dużo z dochodów podatku od soli“. I oto mimo, że już od lat trzydziestu posłowie wszystkich krajów proszą się o zniżenie ceny soli bydlęcej, rząd się na to nie godzi i posłowie nie mogą wyjednać tego czego chcą.

Znowu inny poseł radby co zrobił dla swojej okolicy, chce żeby tam założyli szkołę dla tkaczy, albo żeby rzekę obwałowali i ma bardzo dobre powody, żeby to zrobiono. Tu pełne wioski tkaczy, a nie umieją dobrze robić; albo rzeka wylewa i co parę lat niszczy grunta, zasiewy, sprowadza głód i nędzę. Stawia więc

ten poseł wniosek o taką szkolę i o wybudowanie takiego wału. Ledwie on ten wniosek postawił, a już zapisało się do głosu kilku innych posłów; ten chce u siebie szkoły dla ślusarzy, tamten dla stolarzy, inny dla szewców, albo dla garbarzy; to znowu z innej strony wołają o odprowadzenie potoków górskich, o budowę kolei, o nowy most na Dunaju; tamci chcą gimnazyum, ci uniwersytetu. Wszystko to dobre i potrzebne rzeczy, każdy ma słuszność, żeby dobrze było to mieć. Trzeba więc zliczyć, co to będzie kosztowało; zaczynają rachować: oj gwałtu! toć to wszystko razem tak dużo kosztuje, żeby chyba trzeba dwa razy tak wielkie podatki, jak są, uchwalić i jeszczeby nie wystarczyło. Ludność skarży się na wielkie podatki, a jakżeby jeszcze większe zniosła. I oto musi poseł i jednego i drugiego zaniechać, musi przyznać, że mądre to przysłowie: „nie razem Kraków zbudowany“ i cierpliwie czekać stosownej pory, aby nie uszczęśliwić swoich wyborców, ale żeby wyjednać to co najkonieczniejsze dla okolicy, a częściej przestrzega tylko, iżby nie uchwalono czegoś coby było szkodliwe.

Przyjeżdża potem taki poseł do kraju, napracował się dosyć przez lat kilka i może powiedzieć, jak nasi posłowie: „biedy nie usunęliśmy, bo biedę każdy tylko sam własną pracą zmódz może; ale nie siedzieliśmy napróżno. Oto patrzcie! postaraliśmy się, że Galicya nie będzie spłacała długu na indemnizacyę, i jeżeli nie od razu, to za lat siedem będzie można podatek, jaki teraz płaci się na wykup robocizny pańszczyźnianej, obrócić na takie cele, które nam przyniosą większe korzyści, niż spłacanie długu; uchwaliliśmy ustawy, które mają pomagać naszym rzemieślnikom, aby ze sobą łączyli się w cechy i strzegli przed złymi robotnikami. Dla pracujących wydaliśmy ustawy, które im zapewniają ratunek, jeśliby przy robocie doznali nieszczęścia, pokaleczenia, albo gdyby przez chorobę pracować nie mogli. Przez to, że na te wypadki są potworzone osobne kasy pomocy, robotnicy i ich dzieci nie są narażeni na ostatnią biedę w skutku przypadków, a gminy mniej będą wydawały na utrzymanie ubogich. Oprócz tego, aby wypadków nieszczęśliwych było po fabrykach mniej, wydaliśmy przepisy, jakie w samej fabryce przedsięwziąć środki ostrożności i ustanowiliśmy inspektorów, którzy po fabrykach jeżdżą i pilnują, aby te przepisy były wykonane. Postanowiliśmy dalej, aby kobiety i dzieci nie można przeciążać robotą szczególniej w nocy, albo w kopalniach pod ziemią, a to ze względów na zdrowie i moralność. Zwróciliśmy uwagę, aby przy wypłatach zarobku nie działy się nadużycia, żeby go wypłacano w pieniądzach i nie przez pośrednictwo karczmarza, ale wprost do ręki. Może są jeszcze jakie niedogodności, powiedzcie nam jakie, a pomyślemy jak im zapobiedz. Ceny roboty podnieść nie możemy, bo to nie leży w naszej mocy, ale różnemi środkami staramy się, aby ludzie biedni mieli zarobek. Budują się koleje na koszt państwa, nawet tak się składa, że z wydatków na wojsko najwięcej budynków i robót jest w Galicyi i ztąd ludność może zarobić i część tych podatków, jakie płacimy na wojsko, zostaje w kraju u ludzi co zarabiają przy budowie fortec, magazynów i innych budynków wojskowych. Wystaraliśmy się, że powiększono liczbę urzędników sądowych, aby sprawy mogły szybciej kończyć się i gdzie synowie nasi znajdą umieszczenie. Sprawy rolnicze należą do sejmów, nie do Rady państwa, ale też Sejm nasz lwowski także zakładał szkoły rolnicze, różne szkoły rzemieślnicze, a my posłowie w Radzie państwa staraliśmy się o subwencye dla tych szkól; trochę uzyskaliśmy, a więcej mamy na ten rok obiecanych“.

Tak mówią nasi posłowie i wszystko mówią prawdę; wiedzieli posłowie czego nam trzeba i starali się zrobić co było można. Kogóż więc teraz wybierać, czy tych samych co byli w Radzie państwa, czy innych?

Kogo wybierać? Wszyscy stawiają się za nauczycieli, każdy woła i swoje narzuca zdanie, tworzą się oprócz komitetów Koła posłów sejmowych, różne inne komitety, nie wiedzieć przez kogo zawiązywane, są różni agitatorzy, którzy się narzucają za przyjaciół ludu i wołają żeby tylko chłopów wybierać. Komu wierzyć? Oto najprzód wierzmy biskupom naszym, którzy kandydatów nie narzucają, tylko upominają, aby wybierać dobrych katolików, a potem, w razie wątpliwym, wierzmy komitetom centralnym i powiatowym, wybranym przez Koło posłów sejmowych we Lwowie; ale co najważniejsza, trzeba mieć własne swoje zdanie. Czego wymagamy od posła? Żeby wiedział co nam potrzeba, i to nietylko w tym powiecie, z którego pochodzi, ale żeby wiedział co potrzeba całemu krajowi, bo on nietylko o swój powiat, ale o cały kraj i o państwo starać się winien. Czy on będzie włościanin czy nie, z jakiegokolwiek stanu, o to nie chodzi, byle wiedział co ma robić, byle miał uczciwość w sercu, a rozum w głowie. Powinien być uczciwy, aby na pewne można na niego liczyć, powinien kraj i język swój kochać. Ale zarazem powinien tak znać język niemiecki, żeby rozumiał co mówią, żeby sam po niemiecku mógł wszystko czytać i rozmówić się z drugimi; bo w Wiedniu tylko po niemiecku mówią, więc jak tego języka nie będzie znał, to będzie siedział jak głuchy i niemy, nic nie posłyszy, bo co będzie słyszał, tego nie zrozumie; nie będzie mówił, bo jak się odezwie, jego nie zrozumieją i sam o niczem zdania mieć nie będzie, bo to tylko będzie mógł wiedzieć, co jemu inni powtórzą i będzie zależał od tych, co go objaśniają, a głosować będzie jak mu każą. Poseł powinien z innymi posłami porozumiewać się, pracować na naradach, otóż tam wszędzie wszystko po niemiecku, kto tego języka dobrze nie zna, nie może być dobrym posłem.

Ale może być i taki co języki zna, co dobrze potrafi mówić i układny i sprytny; to jeszcze nie dosyć, musicie wiedzieć czy też on zajmuje się sprawami publicznemi, czy on co zrobił dobrego, czy znacie jego prace albo w Radzie powiatowej, albo w gminie, albo w szkole, albo już może był posłem w Sejmie czy w Radzie państwa. Jak gdzie już pracował i z korzyścią, to musi mieć głowę i doświadczenie, wie jak i gdzie się obrócić. Ten zawsze najpewniejszy, którego widzicie, że nietylko na razie umie wygadać się, ale którego dawno znacie, że chce i robi dobrze, że u niego panuje porządek, oszczędność, pracowitość; bo kto dba o siebie i swoją rodzinę, kto pracy ima się raźno, a kocha Boga i bliźniego, ten pewno czego się podejmie robić potrafi.

Takim więc znanym wam ludziom z zacności i charakteru oddawajcie głosy, takim co mogą coś zrobić, bo mają wykształcenie, a jakbyście mieli wątpliwość, idźcie za zdaniem komitetów przez Koło sejmowe powołanych, głosujcie razem, nie rozbijając głosów, bo jedność to siła i przy wyborach i w każdem działaniu.

Józef Kleczyński.

Wiadomości polityczne.

Komitet centralny przedwyborczy dla zachodniej części Galicyi i Krakowa ogłasza:

1) Na jednozgodne przedstawienie komitetów powiatowych przedwyborczych, myślenickiego i wadowickiego, kandydatury p. Józefa Popowskiego na posła do Rady państwa z okręgu wyborczego mniejszej własności myślenicko-wadowickiego;

2) na jednozgodne przedstawienie komitetów powiatowych przedwyborczych bialskiego i żywieckiego, kandydatury p. Hermana Czecza, na posła do Rady państwa z okręgu wyborczego mniejszej własności bialsko-żywieckiego;

3) na jednozgodne przedstawienie komitetów powiatowych przedwyborczych krakowskiego, chrzanowskiego i wielickiego kandydatury X. Dra Władysława Chotkowskiego, na posla do Rady państwa z okręgu wyborczego mniejszej własności krakowsko-chrzanowsko-wielickiego;

4) na jednozgodne przedstawienie komitetów powiatowych przedwyborczych brzeskiego i bocheńskiego, kandydatury Dra Maurycego Straszewskiego na posła do Rady państwa z okręgu wyborczego mniejszej własności brzesko-bocheńskiego;

5) na jednozgodne przedstawienie komitetów powiatowych przedwyborczych Niska i Łańcuta, kandydatury hr. Ferdynanda Hompescha na posła do Rady państwa, z okręgu wyborczego mniejszej własności nisko-łańcuckiego:

Komitet centralny przedwyborczy kandydatury pp.: Józefa Popowskiego, Hermana Czecza, X. Dra Władysława Chotkowskiego, Dra Maurycego Straszewskiego i hr. Ferdynanda Hompescha na wymienione powyżej okręgi wyborcze mniejszej własności zatwierdza, ogłasza i szanownym wyborcom poleca.

W Krakowie 17 lutego 1891 r.

Niemcy. Cesarzowi Wilhelmowi sprzykrzyły się ciągłe gadania i pisaniny Bismarka, któremu naturalnie nie podobał się cały rząd, no i cesarz, co go się tak prędko pozbył. Na pewnem zebraniu cesarz ostro wystąpił przeciw Bismarkowi i dodał: już raz się to skończyć musi. Naturalnie Bismark nie w ciemię bity, ugryzie się w język i cicho siedzieć będzie. A powiadają nawet, że po cichutku wybiera się do Londynu, że tam już posłał wszystkie swoje pieniądze, a przepisawszy swoje majątki ziemskie na syna, zacznie dopiero gadać co mu ślina na język przyniesie i drukować swoje pamiętniki.

Cesarz Wilhelm wybiera się podobno w lecie do Austryi, aby brać udział w manewrach w dolnej Styryi.

Ambasador (poseł) francuski Herbette wyprawił obiad na cześć cesarza Wilhelma. Potrawy sprowadzano aż z Paryża, a gmach poselstwa wspaniale ozdobiono. Pierwszy to raz po wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870 było podobne przyjęcie cesarza Niemiec przez poselstwo francuskie. Ztąd chodzą pogłoski, że cesarz Wilhelm pragnie prawdziwie pogodzić się z Francuzami.

Rosya. W Petersburgu znowu nihiliści przesłali carowi i całej jego rodzinie listy z groźbą, że w dniu 13 marca jako w rocznicę zabicia cara Aleksandra II, wykonany będzie nowy zamach na cara.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este wraca z Moskwy przez Warszawę, w której na kilka godzin się zatrzyma.

Anglia. Kłótnia o łowienie psów morskich w cieśninie Beringa ma się zakończyć sądem polubownym. Anglia i Stany Zjednoczone południowej Ameryki mają prosić króla włoskiego Humberta, aby się w tej sprawie rozpatrzył i kto ma słuszność osądził.

Rozmaitości.

O wychodźtwie do Brazylii pisze do nas z Głobikowej włościanin Michał Tworek:

Niezważając na żadne przedstawienia i przestrogi ludzie nasi emigrują tłumnie do części świata zwanej Ameryką. Udają się za Ocean w nadziei prędkiego wzbogacenia, lecz się po największej części strasznie zawodzą.

Mam też właśnie wiadomość o pewnym człowieku z sąsiedniej mi wioski, który udał się za morze szukać szczęścia i mniemanych bogactw, choć i w kraju dobrze mu się powodziło. W pięknej, wesołej i żyznej wiosce

powiatu pilzneńskiego, otoczonej w około górami i lasami, a zaś środkiem przerżniętej rzeczką i łąkami z młynem na czele, mieszkał sobie Jakób S. z żoną i trojgiem dzieci na urodzajnem 12 morgowym gruncie, w pięknym domku mieszkalnym, właściciel pięknych trzech koników, dwóch krówek i kilkoro jałownika i nierogacizny.

Z tego już widać, że Jakób był więcej niż zagrodnikiem, skoro posiadał tak ładny mająteczek w tak pięknej wiosce. A przecież do tego człowieka przybył pies-niemiec i głowę zbałamucił Jakóbowi, poradziwszy mu, aby się udał za ocean szukać bogactwa.

W krótkim czasie był już Jakób w portowem mieście Bremie udając się do Ameryki, a na jego majątku osiadł kacap (jak u nas żydów nazywamy), kpiąc z ciemnoty polskiego wieśniaka. Jakób po przybyciu do Bremy udał się do ajenta północnego Lloydu, w celu zamienienia pieniędzy austryackich na amerykańskie dolary, poczem dał się okraść jakimś łotrom na kwotę 1200 złr. Lecz co miał uczynić człowiek zupełnie obcy mową i obyczajami, gdzie się miał udać o poradę. To też nie namyślając się nawet, za pozostałość kupił karty okrętowe i udał się jakby do ziemi obiecanej. Lecz widocznie go Bóg pokarał za opuszczenie ziemi ojczystej, bo i tu znów znalazł przykrość, gotówki zaledwie wystarczyło do przebycia oceanu, a za oceanem co począć? Oto zaprzedał się w niewolę pewnego kapitalisty angielskiego obowiązując się odrobić za każdego członka swej familii 72 dni.

Ów *Bas* zawiózł go w gorące okolice, zamieszkałe przez Anglików, Chińczyków i Włochów, bo w całem mieście znajdowało się tylko 6 Polaków.

Rozpoczął też pracę w *szapie* owego Basa (jak w Ameryce fabrykantów nazywają), lecz i tu pomimo ciężkiej pracy zaledwie mógł zapracować dla siebie na życie odrabiając zarazem swemu panu za koszta podróży. Żona zaś jako i dzieci pracowały w innym szapie cierpiąc głód i niedostatek. Wreszcie nadszedł czas, że Jakób został wyzwolony jakby z niewoli. Rozpoczął też w innej fabryce, lecz i tu go spotkała kara Boża, bo koło maszyny pochwyciło go w zęby, gruchocząc mu prawą nogę i rękę tak, że przez rok jeden nie był zdolny przejść się o swej mocy. Gdy wyszedł z lazaretu nie był zdolny do jakiejkolwiek pracy. Musiał się włóczyć pomiędzy obcy naród o żebranym chlebie, mrąc prawie z głodu i nędzy. Żona zaś i dzieci noszą wodę po ludnem mieście Kansalis, zarabiając zaledwie na utrzymanie życia, a jedno dziecko zmarło wskutek żółtej febry. Przed kilku zaledwie dniami otrzymali krewni od nich list, w którym to opisują, co ja tu skreśliłem, i błagają o ratunek, by się mogli dostać do swego kraju.

Dobry pasterz. Niedawno zmarł we Francyi w Villeneuve czcigodny kapłan Kune, rodem Belgijczyk. Święcenia kapłańskie otrzymał w Namur i odtąd stale pracował w Pańskiej winnicy we Francyi. W r. 1870, w czasie prusko-francuskiej wojny, był proboszczem w Bleneau. W czasie przechodu nieprzyjacielskiego wojska przez wioskę strzelił któryś z jej mieszkańców do pruskiego oficera. Komendant oddziału gdy sprawcy wyśledzić nie można było, zażądał złożenia 20 tysięcy franków jako kary, grożąc w przeciwnym razie rozstrzelaniem 11 członków gminy, których jako zakładników ująć i okuć kazał. Niezasobna gmina nie miała pieniędzy. Proboszcz wstawia się więc do dowódzcy za swymi parafianami, błaga go o życie jedenastu ojców rodzin. Daremne usiłowania, komendant słowa łaski dla skazańców wyrzec nie może, prawo wojenne twarde. Dobry kapłan odzywa się tedy doń drżącym głosem: „Dobrze, nieznany złoczyńca znieważył was, słusznie więc żądasz zadosyć uczynienia, wolny jestem, nie mam żony ni dzieci, a krewni moi obejdą się bezemnie. Oto moja pierś, skieruj ku niej kule karabinów, byleś pozostawił jedenastu wieśniaków ich żonom, ich dzieciom, ich rodzinom. Moja śmierć nie osieroci nikogo, na moje miejsce przyszle biskup innego pasterza owieczkom“. Oniemiał pruski oficer. Samo zaofiarowanie zastępstwa tak wielkie było, iż starczyło za okup, iż skruszyło więzy zakładników, a dobrego pasterza pozostawiło nadal parafii. Prusak uścisnął ze wzruszeniem kapłana, a zakomenderowawszy do dalszego pochodu, ruszył, nie zabrawszy z wioski złamanego grosza.

Fraszki.

W sądzie. Proszę pana sędziego Józef *chciał* mi dać dwa razy po gębie.

Sędzia. A zkądże ty wiesz o tem, że dwa razy, może on chciał raz tylko.

— Ale gdzietam raz, kiedy mi *dał* dwa.

Sędzia. A na cóż mówisz, że *chciał* kiedy ci *dał*.

— Bo proszę wielmożnego pana sędziego, gdyby nie był *chciał* toby i nie *dał*.

W karczmie.

— Ależ to cienka lura, Mendlu!

— Co wy gadacze Wojczechu! — to szkło takie czenkie.

Zagadka.

Ma cztery nogi, jednak nie chodzi,
Gdy kto zmęczony, to mu wygodzi.

Znaczenie zagadki w Nrze 7-ym: *Most.*

Towarzystwo oświaty w Krakowie zaprenumerowało dla swoich czytelni 77 egzemplarzy *Krakusa.* W przyszłym Nrze podamy spis miejscowości, dla których został *Krakus* zaprenumerowany, — obecnie spełniamy życzenie komitetu Towarzystwa, zawiadamiając pp. zarządzających czytelniami, iż Komitet prosi ich o składanie Nrów po przeczytaniu, oprawienie kompletów po ukończonym roku i włączenie ich do biblioteki.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 17 lutego.

Płacono za pszenicę białą od 9.— do 9.25 złr., za czerwoną od 8.80 do 9.25 złr., za żółtą od 8.80 do 9.15 złr.; za żyto od 6.90 do 7.25 złr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 złr.; na paszę od 6.— do 6.25 złr.; za owies od 6.25 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do — —. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.